

WITOLD WIETESKA



Podróż na
BIAŁORUŚ
albo śmierć Hioba

Witold Wieteska

PODRÓŻ NA BIAŁORUŚ ALBO ŚMIERĆ HIOBA

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67562-12-6

Copyright © Svetlana Veteska

Książka ta jest pierwszą częścią tryptyku „Ruskie monidło”

Fotografia na okładce przedstawia artystyczną instalację z Awtiuk Małych (Малые Автюки) na Białorusi, która odzwierciedla fakt, że ich mieszkańcy (oraz mieszkańcy sąsiednich Awtiuk Wielkich) słyną z przywiązania do tradycji, z poczucia humoru, autoironii i żartów, czego wyrazem jest organizowanie przez nich corocznego, znanego w całym kraju, Republikańskiego Festiwalu Ludowego Humoru. Fotografie tę wykonała Svetlana Veteska w roku 2013.

INSKRYPCJA

Wszystko to wydarzyło się naprawdę

Mnie, Wołodii

*Choć nie w tym kraju, mieście, nie na tej ulicy, nie w tym czasie i nie tym
ludziom*

Czasem na jawie, a czasem we śnie

Nie obyło się bez marzeń i wyobraźni

I ja jestem tego świadkiem

Spis treści

CZĘŚĆ PIERWSZA: PODRÓŻ PIERWSZA – UCIECZKA OD SIEBIE DO SIEBIE.....	4
SCENA PIERWSZA.....	4
SCENA DRUGA.....	8
SCENA TRZECIA.....	Error! Bookmark not defined.
SCENA CZWARTA.....	Error! Bookmark not defined.
CZĘŚĆ DRUGA: PO JEJ ŚMIERCI PODRÓŻOWANIE	Error! Bookmark not defined.
SCENA PIĄTA.....	Error! Bookmark not defined.
SCENA SZÓSTA.....	Error! Bookmark not defined.
SCENA SIÓDMA.....	Error! Bookmark not defined.
SCENA ÓSMA.....	Error! Bookmark not defined.
SCENA DZIEWIĄTA.....	Error! Bookmark not defined.
SCENA DZIESIĄTA.....	Error! Bookmark not defined.
SCENA JEDENASTA.....	Error! Bookmark not defined.
CZĘŚĆ TRZECIA: PODRÓŻ, KTÓRA NIE MOŻE SIĘ ZAKOŃCZYĆ ...	Error! Bookmark not defined.
SCENA DWUNASTA.....	Error! Bookmark not defined.
SCENA TRZYNASTA.....	Error! Bookmark not defined.
SCENA CZTERNASTA.....	Error! Bookmark not defined.
SCENA PIĘTNASTA.....	Error! Bookmark not defined.
SCENA SZESNASTA.....	Error! Bookmark not defined.
SCENA SIEDEMNASTA.....	Error! Bookmark not defined.
SCENA OSIEMNASTA.....	Error! Bookmark not defined.
SCENA DZIEWIĘTNASTA.....	Error! Bookmark not defined.

CZEŚĆ PIERWSZA: PODRÓŻ PIERWSZA – UCIECZKA OD SIEBIE DO SIEBIE

SCENA PIERWSZA

W końcu jechałem. Szum silnika, wielość obrazów za szybą, automatyzm ruchów i uspokojenie. Wyrwałem się? Zmuszałem? Cieszyłem? Nie wiem. To było poza mną, w transie zwykłych – niezwykłych czynności.

Parking. Ten, co zawsze. Betonowa patelnia otoczona zaśmieconymi drzewami i krzewami z tej samej, pokrzywionej wiatrem rodziny. Serce bije mocniej. Bagażnik otwarty. Zdejmuję wewnętrzne poszycie klapy zamykającej. Plastikowe zatyczki strzelają z hukiem! A może tylko tak mi się wydaje? Wokół nikogo. Układam kostki banknotów. I nagle jest. Na śmietniku obok niebieskiego toi toia. Nie rusza się. Postrzępiona włóczkowa czapka. Siedzi na ławce, której nie widać. A może wisi w powietrzu? Skupiony na zatrzymaniu ciepła, które wymyka się krótkimi oddechami z wytartej i brudnej kurtki. Może drzemie, a może patrzy gdzieś w dal, do której nie mam dostępu. Nie widzi moich rąk nerwowych, udających ręce spokojne, niedbałe, coś poprawiające. Takimi moje ręce chciałyby być, ale nie mogą, bo miotające się trwożliwie oczy odbierają im płynność i zwykłość. Moja szyja sugeruje niezainteresowanie głowy i obojętność oczu. Ale jest już sztywna. Porusza się z trudem, jakby zabrakło jej oliwy...

I nagle olśnienie! Przecież to Hiob! Ten, o którym czytałem. Nie ma brody. Tak, zawsze wyobrażałem go sobie z brodą. Nie skrobie się skorupami rozbitej filizanki. Jest zimno. Jego skóra nie jest pokryta liszajami. Błyszczą tłustymi plamami kurtki wyświechtanej od ciągłego ocierania się o niespodziewane na jego drodze rzeczy – ławki, drzewa, chodniki, nieliczne skrawki trawy i ziemi... Przechodzę obok, starając się dostrzec jego spojrzenie. Ale ono jest nieobecne. Czyżby wrócił do domu, z którego być może go wygnano, a być może sam odszedł wtedy, gdy zniszczył już jego mieszkańców. I może nawet były to bliskie mu, a nie wrogie osoby. Tak mu się wydaje, ale ta bliskość umyka żalowi, który ściska gardło i sprawia, że pięści znów zaciskają się tak, jak wtedy, gdy bił ją, bo przecież to on był tym bardziej nieszczęśliwym...

Czy mnie zauważył? A może jestem tylko cieniem, który przemknął po jego zamglonych oczach. Cieniem rzeczy, cieniem drzewa, które poruszyło się, aby zaprzeczyć, że nie potrafi wędrować... Nie ma mnie dla niego! Nie ma dla niego moich rąk i zastygłej szyi! Nie ma go dla uwięzionych w poszyciu bagażnika cegiełek dolarów! Jestem tego pewien! Oddycham z ulgą.

Samochód wydaje się ze mną zlewać. Jest moim rozdętym ciałem! Pożera przestrzeń w rytmie delikatnych ruchów mięśni stóp. A jest co pożerać. Chłonę pierwszą zieleń zbóż, która stara się odróżnić od czerni ziemi. Jest z tego tak dumna! Dzieli się ze mną radością z odkrycia własnego piękna. Żółć traw, pod którą czają się rozpalone życiem kłacza, potwierdza, że wieczność jest możliwa, bo jest trwaniem tej trawy raz żółtej, raz zielonej, raz kwietnej. Wieczność jest pod ziemią w nabrzmiałych wiosenną wilgocią korzeniach, jeszcze zarytych, ale już gotowych do bohaterskiej wyprawy w kosmos – tam, gdzie wieje wiatr, a deszcz bije kroplami łodygi i liście. Smaga je prosto, brutalnie, a jednak z uczuciem, które pozwala roślinie żyć, bo jest temu deszczowi potrzebna, by mógł się na niej zatrzymać...

Jadę tam, na polsko-białoruską granicę. To nie jest granica państwa. Ta granica przebiega wewnątrz mnie. Jeszcze jestem Włodkiem, choć wiem, że za chwilę być nim przestanę! Wiem, że moje życie się zmieni! Mój los przestanie mnie boleć. Zacznie się to inne... Ale jeszcze jadę, choć ta jazda jest już kroczeniem, jest już przemianą. Z każdym uciekającym widokiem ktoś się we mnie przepoczwarza... Ale wciąż jeszcze jadę... Jeszcze granica... Jeszcze nie jestem motylem...

Tak, nie umiem sobie odmówić sikania na łonie natury. Tak, zawsze w tym samym miejscu. Nie jestem wyjątkiem. Kroczę uważnie jak baletnica między brunatnymi kiełbaskami oblepionymi muchami, ze skrawkiem papieru toaletowego na czubku, jakby to była flaga wyzwolenicza. Zderzam się z sosnami. W tym zielonobrunatnym zapowiedniku wszechświata uświadamiam sobie, że walczą we mnie zachwyty i odrzucenie wobec zapachu żywicy, woni poruszonej ściółki i smrodu, zachwyty i odrzucenie wobec mnie samego. Bo myśl o wolności właśnie tutaj, w środku tego zmysłowego rozgardiaszu jest śladem tego mnie, którym się stanę. I chcę już odejść, chcę się przepoczwarzyć, przestać być larwą...

Myśl jak błyskawica przynosi orzeźwienie. Pieczętka! Zapomniałem o pieczętce! Wracam do tego mnie z lasku przy drodze... Zapomniałem zostawić ją w firmie! Nie może zostać odkryta! Służy pokonaniu biurokracji – tam, za wzgórzami. Wyciągam ją z teczki. Angielskie i chińskie znaki. Nie powinno jej być właśnie tutaj! Nie została wytworzona przez

tego, kogo reprezentuje! Żłobię butem dołek pod jałowcem. Wkładam ją do plastikowej torebki, upycham w otworze. Przysypuję igliwiem. Miejsce oznaczam fioletowym korkiem! Jedno krótkie spojrzenie. Próbuję zapamiętać ten kawałek wyrwanej z lasu zieleni! Odwracam się do niej plecami. Ruszam. Mój wzrok już podróżuje, choć silnik jeszcze milczy...

Tkwię w kolejce przed granicą. Miejscowe rejestracje – polskie i białoruskie. Kierowcy znają się, rozmawiają. Z ich twarzy bije pewność, wiedza, rutyna. I spokój. Ot, taka sobie czynność. Pilnie skrywają przed sobą nawzajem, przed cudzym, przypadkowym spojrzeniem – cichą, zwyczajną emocję. Przejechać granicę, dotrzeć do najbliższej stacji, zatankować! Wrócić z błyskiem w oczach, bogatsi o pięćdziesiąt, a nawet osiemdziesiąt złotych. Z poczuciem wyższości spoglądać na ten ul, gdzie żelazne trutnie czają się do wylotu, a ludzkie głosy brzęczą w nich metalicznie... I na koniec westchnąć głośno, odetchnąć poranną mgłą. Łudzić się, że wciągają w siebie tę soczystą przestrzeń łąk, zawieszoną w dolince obok wzgórza, na wyciągnięcie ręki. Tak jest lepiej, pełniej!

Rój szumi wytrwale i nużąco. A jednak czasem jego monotonne dudnienie zamiera. W rozmowach pojawia się niepokojące słowo „strajk”. Celnicy niezauważenie znikają. Słowa wypowiedane są półgłosem, ale i ich szelest milknie. Przejście zastyga w bezruchu. W Kuźnicy Białostockiej zapada dziwna, upiorna cisza. Podróżni sprawiają wrażenie znużonych, półsennych, jakby ktoś przed chwilą wyssał z nich krew. Przestają się odwiedzać. Mija godzina, dwie, trzy... Nagle, nie wiadomo, kiedy, bierność pęka. Narasta wściekłość. Połączona syrena klaksonów budzi, drażni, ostrzega. Trwa nieprzerwanie, uparcie, złowrogo. Aluminiowe budki otwierają się. Pogranicznicy i celnicy wypelzają ze swoich kryjówek.

– No dobrze, dobrze, jesteśmy – mówią powolnymi ruchami zaspani, nieprzytomni funkcjonariusze swojego państwa... Motory budzą się, mrucząc. Posuwamy się do przodu. Wszystko jest już jednak spóźnione, jakby wystygło i przestało smakować! Wielka czarna wyrwa w czasie wessała tyle chwil mojego życia. Nie warto było tutaj przyjeżdżać.

A może jednak warto? Jestem przecież tylko jednym z trutni w tym metalowym roju. Dzielę z nim swoje emocje i skrywam, jak inni, radość. A one pulsują we mnie, gulgoczą, chcą się wydobyć na zewnątrz! Powstrzymuję je wysiłkiem woli i rozumu, oszukuję myślą o prawdzie i pięknie. Czytam „Lalkę” Prusa, a ta wciągnęła mnie już w uczuciową pętlę i dusi nieubłaganie. Za chwilę celnik zada pytanie, które winno mnie zaskoczyć i swoją otwartością zburzyć mój spokój.

– *No, to co pan, ukryliście?* – Będzie natarczywie patrzeć w oczy, będzie szukać w nich choćby przelotnego cienia strachu. Czymże jest ta delikatna napaść wobec miłości i cierpień Wokulskiego?! Jak mógł wyhodować w sobie tak monstrualne uczucie, jak mógł karmić i obłaskawiać tego potwora?! Zasłużył na swoje nieszczęście i na swoją zgubę!

Gdy człowiek w zielonym mundurze, przekrzywiając głowę, zanurza się w moje oczy, nie widzi w nich już ani siebie, ani tego przejścia, ani tej wiszącej nade mną kłapy bagażnika. Nie ma mnie w tej chwili w moich oczach. Nie ma drgnienia strachu, zwątpienia ani chęci, by się przyznać. Jest w nich żal nad zatraconym kupcem, nad jego losem i smutnym, i wielkim. Rzuci więc z zadumą, ale bez przekonania, niedbale:

– *Dawajcie, posmotrim. Odkrywajcie!* – Pochyli się nad małą torbę, bo powinien, choć już wie, choć jest już spokojny. Nie zdemaskował mnie, bo okłamałem samego siebie. Jak Wokulski, jak każdy zakochany! Oddaje mi dokumenty. Mogę jechać. Przed szlabanem oddaję *bumażkę* z pieczętkami. Czarno-biały drąg podnosi się i zamyka. Przede mną Białoruś!

Las okalający drogę nie różni się od tego po tamtej stronie. Pojawiają się pisane cyrylicą nazwy miejscowości, które schowały się gdzieś tam, w gęstwinie. Żadnych domów, śladów zasiedlenia. Ciemna ściana drzew wydaje się nie mieć końca, ale nagle urywa się. Szerokie, zaorane, brązowe pola jaśnieją aż po horyzont niewielkich wzgórz. Skala i wielkość kolorystycznych plam budzą szacunek dla malarza. Bliska zieleń, ziemista szarość w głębi i jasne obłoki na błękitnym niebie. Pewna, lekka ręka. Żywy obraz drży delikatnie, podskakuje w rytm podmuchów wiatru, zachwyconego uwolnioną dla niego przestrzenią. Jakiż inny powód mogliby mieć ludzie, opustosząc ten krajobraz, wymazując z niego swoją obecność?!

W centrum tej błyszczącej barwami ziemi jestem ja, samochodoczułowiek, ziarno toczące się w stronę horyzontu, ja, Wołodia. Tak, jestem już tym innym, przemienionym! Nie wiem, kiedy przestałem być sobą. Czy wtedy, gdy celnik wpił się w moje zmęczone źrenice, szukając w nich niepewności? A może wtedy, gdy przybijano mi ostatnią pieczętkę? Nie, wtedy jeszcze nie! Gdy opadł szlaban w czarno-białe pasy? Tak, wtedy już nim byłem! Chwila przemiany skrywa się gdzieś „pomiędzy”. Jak Wołodia chłonałem z zachwytem nowo narodzonego i wiatr z otwartego okna, i kolory za szybą, i drogę bez białych pasów, rozdzielających kierunki. Ale to wciąż było tylko „jak on”. W sercu tkwiło jak zadra uparte „mnie”.

Nagle wspomnienie kłuje mnie boleśnie! Tak, tam w kłapie bagażnika! Prawie zapomniałem. Skręciłem w boczną drogę. Ustawiłem się tyłem do ściany niewielkiego

zagajnika. Pusto! Nikogo! Tylko ptaki krzyczały, że chcę coś ukryć! Czy to przez ich harmider przejeżdżający samochód zwolnił? Chce się zatrzymać obok? Odwróciłem się tyłem do metalowej czeluści, a więc i tyłem do niego. Wykonałem gest jednoznaczny, choć tylko pozorowany. Opuściłem obie dłonie i złączyłem je przed sobą. Parkować obok sikającego? Nie, nie wypada – tak pewnie zdecydował, bo przyspieszył i pojechał dalej. A teraz szybko! Klikanie klipsów strzela głośniejsze niż puls w moich,znaczonych potem, skroniach. Wycieram go starannie, by mnie nie zdradził. Wyjmuję paczki dolarów i układam w teczce! Zamykam poszycie bagażnika. Zatyczki trzaskają już ciszej, radośniej. Gdy skończę, zamieram w bezruchu. Uwaga napięta do granic wytrzymałości. Budzi się strach, że ktoś mógł widzieć, że ktoś skierował na mnie swój wzrok. Zmysły stają się wyostrzone, czułe. Las pachnie odurzająco i choć przestrzeń przybiera podejrzaną kształty, już wiem, że byłem sam! Jaka ulga i jakie zmęczenie. Nikt mnie nie dostrzegł. I zaraz nostalgia. Skąd ona tutaj? Niczego nie mogę zmienić w tętniącej obok przyrodzie. Nie przekrzyczy jej szum silnika, który wciąż mruczy w mojej głowie, choć już nie powinien! Nie ma mnie dla niej. Wdycham mroźne powietrze poranka i nikogo nie obchodzi moje istnienie. Ani ptaków, ani drzew, ani wiatru, ani nawet mnie samego. Jestem wolny, nowo narodzony, bo nikt na mnie nie spojrział wtedy, gdy się bałem...

Wsiadam do samochodu. Jadę tylko przez chwilę. Zatrzymuję się. W ostatniej chwili świadomości mojego „ja” nie cieszę się z tego, że jestem teraz Wołodią. Nie cieszę, bo jestem już tylko nim. Muszę zadzwonić.

SCENA DRUGA

Dlaczego wybrał tę markę samochodu? Nie wiedział. Może podobała mu się taka staromodna linia nadwozia? Chyba jednak o wyborze zdecydował żart, który wprowadził kiedyś jego kolegów w zakłopotanie i przez chwilę nawet zawstydził. Nie widzieli się już dawno. W irlandzkim pubie, przy piwie, ktoś rzucił:

– No to, panowie, czym teraz jeździmy? – Padały nazwy mercedesów, džipów, audi. Gdy przyszła jego kolej, znacząco spuścił wzrok, wytrzymał minutę milczenia, po czym rzucił wyzywająco:

– A ja jeżdżę rowerem. – W odpowiedzi zapadła cisza. Przerwał ją, litując się nad nimi:

– Tak, jeżdżę rowerem, range roverem. – Gdy do nich dotarło, śmiali się i z niego, i z siebie. Wieczór był udany.

Gdy dopadało go zwątpienie, trwoga, gdy pytał siebie, kim jest, co tu robi, przypominał sobie tę historię. Uspokojenie przychodziło wraz z myślą: jestem człowiekiem z poczuciem humoru. I wtedy już mógł postawić następny krok, podjąć decyzję czy choćby tylko otworzyć usta.

Gdzie był teraz? Siedział w brązowym skórzanym fotelu, zamknięty w srebrnym pudle samochodu. Ale nie chciał wyjść na wolność. W tym miejscu i czasie, właśnie tu był teraz jego dom, warsztat i schronienie.

Sięgnął do kieszeni kurtki. Wyszperał telefon. Otworzył, wyjął kartę SIM. Rozkładał części tak, by ich nie rozproszyć, by ich nie zgubić. W tym ich starannym układaniu odnajdywał spokój, porządkował rozchwiany, rozdygotany świat. Rozdzielał drogę rozrysowaną z urzędniczą pasją od drogi nieumalowanej, jednolitej ciemną masą asfaltu. Godził w siebie świat dwóch języków – tak różnych kształtem liter i tak bliskich dźwiękiem. Otwierał i zamykał ten świat szlabanem raz w biało-czerwone, raz w czarno-białe pasy. Na przemian.

Ze stosu karteczek w portfelu wygrzebał maleńki, żółty prostokącik z napisem „Velcom”. Wcisnął go w puste miejsce w aparacie i powoli, uważnie go złożył. Teraz to był *sotowyj*. Westchnął głośno i głęboko. Nikt go nie widział i nie słyszał. Mógł więc sobie na to pozwolić. Jeszcze raz nabrał powietrza przed zanurzeniem się w to, co miało się teraz wydarzyć. Wraz z tym wdechem usłyszał siebie i ucieszył się. A jednak jest, na pewno!

Wraz z zadowoleniem wkroczył jednak niepokój. No dobrze, jestem, ale gdzie? Rozejrzał się. Był sam, na poboczu drogi, między wzgórzem z tyłu i wzniesieniem przed nim, w oddali, na horyzoncie. Doskonale widoczny, ale też doskonale widzący! Obawa zmaląła. Mógł działać. Wystukał numer. Podniósł nokię do głowy i czekał.

Łysawy – lubił o sobie mówić. Krótco wystrzyżony, po czterdziestce, krępy. Wysoki tym ostatnim centymetrem, który w młodości zdobył wyprężeniem nóg, bioder i ramion. Z życzliwym zainteresowaniem wpatrywał się w swój dowód osobisty, jakby to był cudzy dokument. Wzrost – wysoki, znaki szczególne – brak, kolor oczu – niebieski. A najczęściej wtedy, gdy nudził się w kolejce na granicy. Przed nim przemiana, a on wątpi. Czyżby tylko ten wzrost, kolor oczu i brak znaków szczególnych był stały? Czyżby tylko one go określały i on sam był tylko wzrostem, kolorem, brakiem i niczym więcej? Z zadumy wyrwały go dźwięki – stukanie w szybę, bo trzeba bliżej podjechać, szczątki rozmowy przechodzących

obok, szczekanie psa pogranicznika, który wywęszył coś w bagażniku. Z zadumy wyrывało go samo życie.

Boks ukształtował jego silną, muskularną sylwetkę. Grube brwi, szeroko rozstawione oczy i okrągła twarz zwieńczona złamanym nosem. Pamiątka z bójki za szkołą. Był z niej dumny, bo ona przypominała mu, że potrafi się obronić. Przed kim? Kiedy? Co oznacza to „jeszcze”? Często fantazjował o walce, w której przeciwnik osuwa się na ziemię. Ale te obrazy powracały w zaskakujących momentach. Siedzi sobie w kawiarni i obserwuje piękne, młode dziewczyny. One chwytają jego chciwe spojrzenie i zadowolone wstrząsają gibkimi, prężnymi ciałami. Tak, wtedy jeszcze można zrozumieć. Ale w lesie, gdy zatrzymywał się, wiadomo po co? Właśnie te wizje w lesie wkurzały go najbardziej.

– *Na chuj mnie eto prichodit* – klął w duchu, patrząc na sosnowe igły i zastanawiając się przy tym, czy „chuj” pisze się przez samo h, choć przecież w rosyjskim ono zawsze jest „samo”. Gdy czekał na granicy, to rozumiałe, usprawiedliwione i nie ma się czego wstydzic. Nie tylko on przecież. Tłumiona agresja kipiała bezszumnie we wszystkich męczonych w tym kotle. Ulotni się wraz z podniesieniem pasiastego drąga. Ale w lesie?!

– O kurwa – oburzał się w lesie przed granicą.

– Na chuj mi to – kipiał w lesie po granicy. Skąd się to w nim brało?! Lubił przecież ten las i polski, i białoruski. I skąd tu wziąć kogoś, kto uderzony osunie się na ściółkę?! I zawsze w lesie najintensywniej, jakby te krzaki były opartymi o liny gapiami, a drzewa słupkami narożników.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI